



Bruce Moen

PODRÓŻE w nieznane

GALAKTYKA

Bruce Moen

PODRÓŻE
w nieznane

G A L A K T Y K A

Tytuł wydania oryginalnego:
Voyages into the unknown

Copyright © 1997 by Bruce A. Moen
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition 2019 by Galaktyka sp. z o.o.
Wszelkie prawa zastrzeżone.

90-644 Łódź, ul. Żeligowskiego 35/37
tel. +42 639 50 18, 639 50 19, tel./fax 639 50 17
e-mail: info@galaktyka.com.pl; sekretariat@galaktyka.com.pl
www.galaktyka.com.pl
ISBN: 978-83-7579-724-4

Przekład na język polski pierwotnie opublikował:
Dom Wydawniczy LIMBUS
Przekład: Dorota Konieczka
Redaktor serii: Mariusz Piotrowski

Korekta: Monika Ulatowska
Redakcja techniczna: Renata Kozłowska
Redaktor prowadzący: Marek Janiak
Projekt okładki: Justyna Grabowska / CZARNY KWADRAT
Ilustracje na okładce: © kamichou, Ig0rZh, sv photo / Fotolia.com
Skład: Garamond
Druk i oprawa: Drukarnia im. A. Półtawskiego

Księgarnia internetowa!!!
Pełna informacja o ofercie, zapowiedziach i planach wydawniczych
Zapraszamy
www.galaktyka.com.pl
kontakt e-mail: info@galaktyka.com.pl;
sekretariat@galaktyka.com.pl

Choć autorzy i wydawca dołożyli wszelkich starań, aby zawarte w tej książce informacje były rzetelne i kompletne, nie ponoszą oni żadnej odpowiedzialności za mogące pojawić się błędy, nieścisłości, przeoczenia lub niezgodności. Autorzy i wydawca nie mieli też zamiaru nikogo obrazić ani przedstawić w złym świetle miejsc i organizacji.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Bez pisemnej zgody wydawcy książka ta nie może być powielana w częściach, ani w całości. Nie może też być reprodukowana, przechowywana i przetwarzana z zastosowaniem jakichkolwiek środków elektronicznych, mechanicznych, fotokopiarskich, nagrywających i innych.



SPIS TREŚCI

Prolog.	9
1. Oklahoma City: 19 kwietnia 1995	15
2. Pierwsze próby	29
3. „Podróż przez Bramę”	53
4. „Linia Życia”	95
5. Druga „Linia Życia”	153
6. Dalsze podróże	193
Epilog. To Życie i Życie po Śmierci	251
Aneks A. Odniesienia do programu „Podróż przez Bramę”	255
Aneks B. Odniesienia do programu „Linia Życia”	261
Aneks C. Wskazówki do nawiązania kontaktu z Życiem po Śmierci	267

Kim jesteś?

Kiedy miałem jakieś dwadzieścia pięć lat, ciekawość popchnęła mnie do czytania wszystkiego, co tylko mogłem znaleźć, a co dotyczyło moich Trzech Wielkich Pytań. Czytałem Biblię i książki o pisaniu automatycznym, reinkarnacji, astrologii, numerologii, hipnozie, snach i wielu innych rzeczach nazywanych paranormalnymi. Nauczyłem się posługiwać tablicami ouija. Wysłuchiwałem nagrań, mających zawierać informacje zdobyte podczas channelingów poprzez media nie należące do naszego świata. W końcu poczułem, że mam niezłe pojęcie o tym, gdzie byłem, zanim się urodziłem. Wtedy skoncentrowałem się na tym, dokąd pójść po śmierci.

Pochłaniałem każde źródło informacji, jakie tylko mogłem znaleźć. Czytałem książki o Edgarze Cayce'u i innych, napisane przez pisarzy takich jak Ruth Montgomery, Judy Boss i wielu innych. Przeczytałem *Poszukiwania Bridey Murphy*, opowieść o regresji z wykorzystaniem hipnozy, i hipnoza stała się moim kolejnym hobby.

Wiele z tego, co przeczytałem, wskazywało, iż miejsce, do którego udamy się po śmierci, może być związane ze światem, w którym śniemy. Postanowiłem znaleźć sposób świadomego wkraczania do świata snów. Prace Carlosa Castanedy stały się moim pierwszym prawdziwym kluczem do świadomego wkroczenia do świata snów.

Castaneda, student antropologii, napisał serię książek traktujących o jego studiach nad rolą czarowników, czyli szamanów ze szczepu Indian Yaqui żyjących w Meksyku. W jednej ze swych książek opisał, jak jego nauczyciel, człowiek, którego nazywał don Juanem Matusem, nauczył go odnajdywać swe ręce podczas snu. Ręce miały służyć jako punkt odniesienia i pomóc mu w osiągnięciu stanu „jasności”, a tym samym świadomego penetrowania świata snów.

W końcu wynalazłem gdzieś metodę, która mogła mi pomóc zachować świadomość w świecie snów. Byłem pewien, że raz się tam dostawszy, będę mógł badać miejsca, do których się udajemy, gdy umieramy. Na swój zwykły, obsesyjny sposób, natychmiast zacząłem zawzięcie ćwiczyć instrukcje don Juana, czyli starałem się odnaleźć swe dłonie na jawie, co miało być sposobem na odruchowe wywołanie tej czynności podczas snu. Kiedy tylko mogłem, spoglądałem na swoje ręce i mówiłem sobie: „Spojrż w dół, kiedy będę spał dzisiejszej nocy i ujrzę moje dłonie we śnie”. Każdej nocy zasypiałem, myśląc o odnalezieniu mych dłoni. Przez ponad miesiąc budziłem się każdego ranka rozczarowany, że jeszcze nie osiągnąłem tego, czego pragnąłem.

Wtedy, pewnej nocy dokonałem tego! Śpiąc, nagle zdałem sobie sprawę, że patrzę na swoje dłonie! Odnalazłem je i wiedziałem, że jednocześnie spałem i śniłem. Przyjrzałem im się dokładnie. Aha, pomyślałem, to naprawdę moje ręce. Więc... co dalej? Idea odnalezienia dłoni tak bardzo mną zawładnęła, że nie zdążyłem się zastanowić nad tym, co miałem robić dalej! Przypomniałem sobie jedną z instrukcji don Juana. Hmm, może po prostu się rozejrzę.

No, dobrze... spojrzałem więc w górę i ujrzałem, że stoję na pierwszym piętrze na korytarzu jakiegoś starego domu. Z lewej strony widziałem kilka par drzwi, z prawej strony natomiast biegła pusta ściana. Korytarz ciągnął się przede mną może na jakieś sześć metrów i kończył się ścianą. Wielkie mi co!, pomyślałem. Stoję w korytarzu jakiegoś domu, no i co z tego! Musi być tu coś ciekawszego do roboty niż tylko oglądanie starego korytarza!

Żabki! Przez całe moje życie nigdy nie bytem dość silny ani też nigdy nie potrafiłem na tyle skoordynować ruchów, aby umieć robić żabki – więc zrobię to teraz. Tutaj będzie to łatwe, gdyż nie mam ze sobą ciężkiego ciała, które muszę dźwigać. Świetny pomysł! Te myśli były tak

głośne, że byłem pewien, iż każdy, kto znajdował się w pobliżu domu, musiał je słyszeć i śmiać się z nich. Skoczyłem naprzód, wylądowałem na rękach i znów skoczyłem na nogi. Jeszcze dwa czy trzy razy skoczyłem sobie radośnie po korytarzu pierwszego piętra. Nagle zatrzymałem się, bez żadnego logicznego powodu odwróciłem się i spojrzałem na ścianę z mojej prawej strony. Kiedy tak patrzyłem, na ścianie zaczęło formować się okno. Dokładnie przede mną zmaterializowało się staromodne, podwójne, drewniane okno. Jego dolna połowa otworzyła się i nagle, w oddali, ujrzałem mężczyznę.

Facet był wielki! Wiedziałem, że musiał być duży, bo jego oczy znajdowały się dokładnie na poziomie moich. A przecież ja stałem na pierwszym piętrze, a on na ziemi. No, w zasadzie nie byłem do końca pewien, że stał na ziemi, bo nie widziałem jego stóp, które zasłaniał gładki, szarawo-biały płaszcz; zwiślał on luźno z jego ramion aż do ziemi. Jego stopy nie musiały właściwie dotykać ziemi, ale w tamtej chwili to nie miało znaczenia, patrzyłem na ogromnego faceta.

Gapiąc się na jego twarz, próbowałem jednocześnie odgadnąć jego narodowość. Z jakiegoś powodu uznałem, że jest ona niezwykła. Jego skóra była ciemna, bardziej jak u Azjaty niż Murzyna, ale rysy twarzy były delikatne i bardziej charakterystyczne dla człowieka urodzonego w Europie Północnej. W jego oczach było coś bardzo dziwnego; nie były one skośne jak u Azjaty, lecz coś innego przyciągało w nich uwagę. Wciąż mu się przyglądając, stwierdziłem, że musi mieć w sobie krew i orientalną, i norweską. Teraz brzmi to dość dziwnie, ale wtedy była to jedyna kombinacja, która mogła wyjaśniać wszystkie niezwykłe cechy jego wyglądu.

– Kim jesteś? – zawołałem do niego lekkim, zachęcającym do konwersacji tonem.

Pozornie nie poruszył nawet jednym mięśniem, lecz zaczął powoli zbliżać się ku mnie. Przez cały czas, gdy na niego patrzyłem, nie zmienił

wyrazu twarzy. Wciąż miał ma ustach ten uśmiech „nie-bój-się-mnie-ale-i-tak-wiem-coś-czego-ty-nie-wiesz”. Zbliżał się do mnie, a ja nagle zaniepokoiłem się.

– Kim jesteś? – zapytałem jeszcze raz, tym razem trochę ostrzejszym głosem.

Nic w jego twarzy czy postaci nie wskazywało na to, że ma zamiar odpowiedzieć na moje pytanie. Wciąż zbliżał się do mnie, a ja byłem już wręcz przerażony.

– Kim jesteś?! – wrzasnąłem.

Myślałem, że już po mnie, kiedy nagle okno zamknęło się i zniknęło, a ściana była na powrót gładka i pusta. A ja znów skakałem sobie żabką po korytarzu, jakby nigdy nic się nie wydarzyło! Strach zniknął, a ja znów byłem szczęśliwy. Juhuuuu! Patrzcie na mnie, skaczę sobie żabką po korytarzu! Wkrótce jednak żabka mnie znudziła; ostatecznie nie jest to wielkie wyzwanie. Co dalej?

„Chciałbym przeskoczyć przez ścianę gdzieś za tym nudnym korytarzem” – usłyszałem swoje myśli. No i oczywiście, przysiadłem, dotykając rękami podłogi i skoczyłem. Poczułem, jak lecę przez ścianę. Wkroczyłem w dziwną czern; nigdy wcześniej takiej nie widziałem. Czułem, że poruszam się gdzieś w dół stopami naprzód. Minąłem pierwsze piętro. Nagle stwierdziłem, że znajduję się w czymś w rodzaju szorstkiej, jednolitej, niezwyklej trójwymiarowej czerni. Czern ta miała głębość. Kiedy spojrzałem w nią, ujrzałem, że porusza się ona z ogromną prędkością, która dała mi poczucie ruchu. Nie czułem tej czerni, jak czuje się powietrze, ale czułem jej szorstką strukturę. Kiedy zanurzyłem się w niej w drodze do miejsca mego przeznaczenia, czymkolwiek ona była, stwierdziłem, że była raczej konsystencji płynnej niż stałej.

No dobrze, powiedziałem sobie, a gdzie teraz wyląduję? Ujrzałem w myślach obraz pięknego, rozświetlonego słońcem pola. Za chwilę

wylądowałem na udeptanej ścieżce, która wiła się pośród trawy hen, aż po horyzont. Okolica była pagórkowata, trawa bardziej zielona niż gdziekolwiek na Ziemi. Tu i ówdzie widać było drzewa, niektóre niskie, a niektóre wysokie. Ścieżka, na której wylądowałem, wiła się przez łąkę, a potem skręcała w lewo i biegła dalej, aż na niewielki pagórek wzniesiony w oddali. Podążyłem za nią wzrokiem z miejsca, gdzie stałem, aż do miejsca, gdzie znikwała za pagórkiem. W oddali, na wierzchołku wzniesienia, ujrzałem ludzi, pięciu czy sześciu. Szli ścieżką w moim kierunku. Wciąż jeszcze znajdowali się w pewnej odległości, nie byli więc zagrożeniem, a jednak nagle rzeczą najnaturalniejszą w świecie stało się dla mnie to, że musiałem ich zaatakować. Zacząłem biec w ich kierunku, machając rękami. Z początku wydali się szczęśliwi, że mnie widzą, niemal jakby mnie znali już wcześniej. Miałem wrażenie, że czekali, aż do nich podejść i przywitam się z nimi. Zaatakowałem ich z całą furią, na jaką mogłem się zdobyć. Miotalem się pośród nich, chcąc wyrządzić jak najwięcej krzywdy. Bogu ducha winni biedacy traktowali mnie dobrze, zważywszy moje poczynania. Otoczyli mnie i, ułożywszy dłonie i ramiona nade mną, delikatnie przydusili mnie do gruntu. Wiedziałem, że nie chcieli mi zrobić krzywdy, kiedy tak przyciskali mnie do ziemi. Chyba raczej uważali, że napotkali na swej drodze wariata i po prostu musieli go obezwładnić. Wciąż walczyłem o wolność i nadal próbowałem ich atakować, kiedy stopniowo zacząłem tracić świadomość. Następną rzeczą, jaką pamiętam, było przebudzenie w moim własnym łóżku w Minnesocie, w domu, który budowałem nad jeziorem.

Pamiętałem! Udało mi się znaleźć ręce we śnie! Jaśniałem i pamiętałem też wszystko, co zdarzyło się potem. Zastanawiałem się, kim był tamten wielki mężczyzna w oknie, którego tak bardzo się przeraziłem. Myślałem o dziwnej czerni, przez którą wypadłem, kiedy wyszedłem

z domu przez ścianę. Gdzie znajdowało się to przepiękne miejsce ze ścieżką i słońcem? Trochę mi było nieswojo na myśl o tym, że zaatakowałem tych miłych ludzi, którzy szli ku mnie ścieżką. Ale kim oni właściwie byli? Zdawało się, że mnie znają i oczekują. Pewnie chcieli mi zdradzić jakąś wielką tajemnicę dotyczącą mnie, a ja, zamiast wysłuchać ich, chciałem zrobić z nich krwawą miazgę. Wstydziłem się tego i czułem się strasznie głupio. Zastanawiałem się, cóż miało oznaczać to wszystko, co zobaczyłem podczas mego pierwszego jaśniejącego snu. Tej nocy zasnąłem z myślami kłębiącymi się dziko w głowie.

Szokujące, głośnie przebudzenie

Następnego dnia obudziłem się w mojej własnej sypialni, albo przynajmniej tak sądziłem. Pomieszczenie wyglądało jak moja sypialnia, lecz wypełniała je dziwna, złotożółta poświata. Światło było tak dziwne, że przez dobrą chwilę zastanawiałem się tylko, jak to możliwe, że w ogóle coś takiego istnieje. W końcu stwierdziłem, że są to po prostu zamglone promienie wschodzącego słońca dostające się przez okno. (Zadziwiające, jak łatwo odrzucamy rzeczy, których nie potrafimy wyjaśnić, a potem już do nich nie wracamy. Kilka godzin później uświadomiłem sobie, że owo dziwne światło nie mogło być promieniami wschodzącego słońca wpadającymi przez okno – jedyne okno w mojej sypialni wychodzi na zachód).

Wtedy moją uwagę zwróciło delikatne brzęczenie wibrujące w mojej głowie i szybko rozprzestrzeniające się po całym ciele. Jego natężenie wkrótce wzrosło do bardzo nieprzyjemnego poziomu; odczuwałem je jak coś w rodzaju silnego, chropawego w brzmieniu prądu o niskiej częstotliwości, który przenikał całe moje ciało. Zdawało mi się, że co chwila ulegam porażeniu prądem elektrycznym, co przypominało mi sceny ze starych filmów, w których czarny charakter zasiadał na krze-

śle elektrycznym. Brzęczenie i uderzenia zawładnęły mną całkowicie. Czułem się, jakbym włożył głowę w pracujący na pełnych obrotach silnik samolotu. Ogłuszający huk, jaki wypełnił moją głowę, wykluczył jakąkolwiek możliwość myślenia, pozostało jedynie przerażenie przenikające całe moje jestestwo. Nie byłem w stanie się poruszyć. Byłem pewien, że znalazłem się w mocy jakiejś straszliwej elektrycznej mocy, której zadaniem było zakończyć moje życie.

Walczyłem zazarcie, próbując uwolnić ciało z więzów tej siły. Nic z tego. Oczy miałem chyba otwarte, jako że widziałem wyraźnie sypialnię, nie mogłem tylko poruszyć choćby jednym palcem. Moje ciało jakby umarło, czułem tylko przerażające, przesywające mnie na wskroś elektryczne buczenie. Skoncentrowałem się na tym, aby poruszyć nogami i jednocześnie myślałem: „To największe i najsilniejsze mięśnie w moim ciele. Jeśli zdołam poruszyć w ogóle czymkolwiek, to będą to moje nogi”. Ogarnęła mnie panika, niemal oszalałem z pragnienia poruszenia jakąkolwiek częścią mojego ciała. Nagle poczułem, jak leciuteńko drgnął małeńki mięsień tuż za lewym kolanem. Siła buczącego, huczącego prądu elektrycznego osłabła, zafalowała i w końcu ustąpiła.

W pokoju przez chwilę zapanowała ciemność. Otworzyłem oczy. Znow byłem w mojej własnej sypialni, lecz niesamowite żółtawe światło zniknęło. Znow mogłem z łatwością poruszać całym ciałem. Usiadłem więc, a potem wstałem. Owo okropne buczenie ucichło i zdawało się, że wszystko wróciło do normy. Nie miałem pojęcia, co to było, skąd się wzięło ani też co je przywołało. Myślałem, że albo miałem bliskie spotkanie ze śmiercią, albo wariuję. Wiedziałem, że za żadne skarby świata nie chciałem, żeby się to powtórzyło, czymkolwiek to było.

Przez następne dwa tygodnie buczące, huczące, wibrujące elektryczne doświadczenie powtarzało się wielokrotnie. Czasami przebiegało jak za pierwszym razem, kiedy to obudziłem się nad ranem. Czasami właśnie

zasypiałem, kiedy nagle czułem, że się zaczyna, z początku delikatnie, a potem bardzo szybko narastało do przerażającego, przyprawiającego o szcęknięcie zębami natężenia. Szok zawsze mnie przerażał; zawsze drżałem z odrazy na samo wspomnienie.

W ciągu tych dwóch tygodni stopniowo doszedłem do wniosku, że czymkolwiek jest to coś, nie zabije mnie, a przynajmniej nie od razu. Stwierdziłem również, że jeśli mocno się skoncentruję, potrafię się poruszyć, choćby tylko nieznacznie. Poruszenie jakąkolwiek częścią ciała, bez względu na to, jak niewielki byłby to ruch, uwalniało mnie od huczącego, brzęczącego uścisku terroru. Stało się to prawdziwym utrapieniem, które łąpało mnie bezbronno, kiedy kładłem się spać lub budziłem. Bałem się jednakże tylko wtedy, kiedy trwało, uważając to zjawisko za coś dziwnego, co samo przejdzie, więc jakoś się trzymałem.

Prawie dwa tygodnie po śnie „Kim jesteś?” wybrałem się do biblioteki publicznej, aby wypożyczyć książkę o hipnozie. W tym okresie hipnoza wciąż była moim hobby, a już od jakiego czasu nie przeczytałem o niej nic nowego. Dlatego chciałem tam pójść, tak mi się przynajmniej dziś wydaje. Skierowałem się do katalogów i wypisałem sobie kilka tytułów, po czym zbliżyłem się ku półkom z książkami. Po chwili zauważyłem pierwszą książkę z mojej listy; znajdowała się na górnej półce, trochę powyżej poziomu oczu. Wyciągnąłem rękę, chwyciłem ją i ściągnąłem na dół. Otworzyłem na chybił trafił i zacząłem czytać lewą kartkę, gdzieś od połowy strony. Tekst brzmiał:

Stała przy mnie wysoka kobieta o dość ciemnym odcieniu skóry, ubrana w długą, prostą suknię. Z początku myślałem, że jest Murzynką; miała jednak dość delikatne i regularne rysy twarzy, ciemne proste włosy i równo przyciętą grzywkę. (Teraz wiem, sądząc po opisie, że kobieta owa mogła pochodzić ze Środkowego Wschodu lub Egiptu, lecz nie z Orientu, gdyż jej oczy na to nie wskazywały).

Coś w tym tekście zabrzmiało znajomo. Poczułem, jak coś pędzi ku mojej świadomości. Narastało bardzo szybko, zwiększając napięcie, aż nagle wybuchło myślami, które rozpoznałem. Chwileczkę! Ten opis pasuje do osoby, do której krzychałem we śnie „Kim jesteś?”, raptem kilka tygodni temu!, pomyślałem. Zamknąłem książkę i przeczytałem tytuł na okładce. *Podróże poza ciałem* Roberta A. Monroe. Przecież nie tę książkę ściągnąłem z półki! Nie miałem pojęcia, jak to się stało, że właśnie ta książka znalazła się w moich rękach, lecz zdawało się, że jest to jeden z tych zbiegów okoliczności, którymi człowiek nigdy nie poświęca zbyt wiele myśli. Ostatecznie krzychałem do kogoś „Kim jesteś?!” w moim pierwszym świadomym śnie dwa tygodnie temu, a książka w moich rękach zdawała się być odpowiedzią na to pytanie.

Zacząłem rozmyślać o tym zbiegu okoliczności. Przebyłem prawie trzydzieści kilometrów, aby dotrzeć do biblioteki. Bliżej mojego domu znajdowały się co najmniej dwie inne biblioteki, gdzie równie dobrze mogłem się zatrzymać. Na mojej liście umieściłem wiele innych książek o hipnozie. Mogłem sięgnąć najpierw po jakąkolwiek inną. Nie mogłem przestać się zastanawiać, jak do tego doszło, że p r z y p a d k o w o chwyciłem niewłaściwą książkę, na chybił trafił otworzyłem ją na tej właśnie stronie i przeczytałem te właśnie słowa, które były odpowiedzią na pytanie wykrzychane we śnie dwa tygodnie wcześniej. Stwierdziłem, że przypadek nie ma z tym nic wspólnego. Zostawiłem książkę o hipnozie na półce i wróciłem do domu z *Podróżami poza ciałem*.

Dotarwszy do domu, zacząłem czytać książkę Monroe'a. Twierdził on, że zaczął w sposób spontaniczny podróżować niefizycznie, poza ciałem, na wiele lat przed napisaniem tej książki. Urywek, na który natknąłem się w bibliotece, odnosił się do istot, które nazwał Pomocnikami. W jego podróżach poza ciałem owi Pomocnicy często mu asystowali. Znalazłem również rozwiązanie zagadki owego buczonego, huczonego

wstrząsu elektrycznego, jakiego doświadczyłem dzień po moim śnie „Kim jesteś?”. W pierwszym rozdziale książki Monroe mówi o silnej vibracji, która go chwyciła, jak sam mówi „niby w imadło”. Nazwał to „stanem wibracyjnym”, twierdząc, że jest to stan poprzedzający wyjście poza ciało. Nakreślił również techniki, które można wykorzystać, aby ułatwić wejście w ów stan wibracyjny i wykorzystanie go do świadomego wyjścia poza swe ciało. Brzmiało to znacznie lepiej niż zwykły świadomy sen! Pisał dalej o tym, że w tym stanie człowiek może udać się do każdego miejsca, czy to w fizycznym, czy niefizycznym świecie i to świadomie!

Przeczytawszy jego książkę od deski do deski, zacząłem entuzjastycznie ćwiczyć techniki, które opisywał. Jego instrukcje wydały mi się trochę niejasne, jako że odnosiły się do spraw, o których nie miałem pojęcia. Lecz robiłem wszystko, co tylko było w mojej mocy, aby znaleźć się w owym stanie wibracyjnym, a potem wzmocnić jego częstotliwość aż do natężenia, które będę odczuwał jako wysoki, gładki ton. A potem wyruszę w podróż poza ciało. Włożyłem całą moją energię, aby osiągnąć ten cel. Ćwiczyłem, kiedy tylko mogłem. Nie minęło wiele czasu, a zacząłem uzyskiwać pewne wyniki, lecz wciąż nie rozwiązałem problemu strachu. Zасыpiając, stosowałem wyuczone techniki, ale wielokrotnie zdarzało się tak, że nagle chwycił mnie ów porażający strach. Moją pierwszą reakcją był zawsze unik wywołany odrazą do owych wibracji, a potem starałem się znów sięgnąć po to, czego tak bardzo pragnąłem. Nie mogę powiedzieć, że technikę Monroe'a opanowałem bezbłędnie. Nigdy nie byłem w stanie korzystać z niej na zawołanie.

W tym samym jednak czasie miałem moje pierwsze doświadczenie przebywania poza ciałem. Było ono najpewniej wynikiem usilnych starań oraz uczenia się na własnych doświadczeniach. Pewnego dnia położyłem się, aby uciąć sobie popołudniową drzemkę. Byłem zmęczony

i szybko przysnąłem. Jakiś czas później obudziłem się albo raczej – i to byłoby bliższe prawdy – uświadomiłem sobie, co też, na pół świdomie, wyprawiam. Usiadłem wyprostowany na łóżku, przerzuciłem nogi przez jego krawędź i wstałem, kierując się wprost na otwarte drzwi. Podszedłem do nich, skręciłem w prawo i poszedłem w kierunku mojego salonu. Wszystko, co widziałem, wyglądało dokładnie tak, jak w moim fizycznym domu. Zatrzymawszy się na schodkach wiodących na strych, skręciłem w lewo i doszedłem do głównych schodów. Stałem przy nich, lecz zamiast wejść do góry, wyciągnąłem rękę i pchnąłem ją przez nie. W ten sposób, przedostawszy przez schody resztę mojego ciała, znalazłem się w tej samej, trójwymiarowej czerni, którą widziałem w moim śnie „Kim jesteś?”. Kiedy wyszedłem z czerni, znajdowałem się w górze, blisko sufitu, w kącie, spoglądając w dół na wielki, ciemny, okrągły stół. Wszystko miało odcienie czerni, bieli i szarości. Przy stole siedziało dwóch ludzi, a przed nimi stały niewielkie słoje. Podnosili słoje, zanurzali w nich palce, tą substancją smarowali twarze, a potem spoglądali na siebie i wybuchali gwałtownym śmiechem. Przez kilka minut przyglądałem się tej scenie, nie wiedząc, o co chodzi, aż w którymś momencie zniknęła mi z oczu. Później obudziłem się ponownie, tym razem fizycznie, i wstałem z łóżka.

– Becky, przed chwilą śnił mi się najdziwniejszy w świecie sen! – powiedziałem, dotarwszy do salonu, w którym siedziała, podczas gdy ja ucinałem sobie drzemkę.

Becky wiedziała, że uczyłem się tego całego wychodzenia poza ciało. Kiedy opowiedziałem jej o wszystkim, jej twarz przybrała ten szczególnie wyraz mający oznaczać: „O mój Boże!”. Powiedziała mi, że kiedy się położyłem, ona poszła odwiedzić swoją przyjaciółkę Debby, której matka zajmowała się sprzedażą kosmetyków. Jej mama właśnie podrzuciła jej całą torbę próbek kremów i makijaży. Becky i Debby siedziały sobie

przy wielkim, ciemnym stole w jadalni, na którym rozłożyły wszystkie słoiczki, i robiły dokładnie to, co widziałem w moim śnie.

Cały czas ćwiczyłem wychodzenie poza ciało, lecz jednocześnie wciąż zdarzały mi się świadome sny. Były naprawdę zabawne i dawały mi wiele radości, kiedy nieustannie pracowałem nad tym, aby nauczyć się świadomego wychodzenia poza ciało. Przeważnie budziłem się we śnie, w którym znajdowałem się w sportowym samochodzie, jadąc z wielką szybkością świeżo wyasfaltowaną ulicą w pełnym słońcu dnia.

Potem, pewnego letniego dnia, jechałem do pracy Excelsior Boulevard, czteropasmową ulicą w Minneapolis. Jechałem wtedy moim austinem healey z 1960, wcześniej opuściwszy dach. Było to, jeszcze zanim jakaś choroba powaliła wszystkie te piękne drzewa, kiedy więc zmierzałem na wschód, wstające słońce rozświetlało zieloność wiązków, które osłaniały ulicę niczym kopuła. Pamiętam, że patrzyłem na liście jaśniejące zielenią w świetle słońca i myślałem o tym, jak pięknie wyglądają. Pamiętam, że pomyślałem: „Jeśli śnię, to potrafię unieść się w górę i mieć lepszy widok”. Całą uwagę skupiłem na tych liściach, a znajdowały się one jakieś dziesięć metrów nade mną. Kiedy tak na nie patrzyłem, miałem wrażenie, że są dosłownie w zasięgu ręki, i zastanawiałem się czy śnię, czy nie. Wciąż patrzyłem wprost na liście, próbując się zdecydować, czy rzeczywiście śnię. Nagle doznałem szoku, uświadomiwszy sobie, że bynajmniej, wcale nie śnię. Jechałem samochodem jakieś pięćdziesiąt kilometrów na godzinę zatłoczoną ulicą. I nie zwracałem uwagi na ruch na jezdni! Patrzyłem prosto w górę na kolorowe liście na drzewach. Gwałtownie opuściłem głowę i znów skupiłem się na drodze. Bóg ma w swej pieczy głupców, pomyślałem, kiedy uświadomiłem sobie, gdzie jestem i jakie niebezpieczne było to, co właśnie robiłem.

To wydarzenie napędziło mi niezłego strachu, zwłaszcza kiedy myślałem sobie o nim później. Wiedziałem, że nie mogłem już z całą

pewnością stwierdzić, kiedy świadomie śnię bezpieczny we własnym łóżku, a kiedy prowadzę samochód po ruchliwej ulicy czy robię cokolwiek innego. Postanowiłem przerwać i ćwiczenia ze świadomymi snami, i eksperymentowanie ze stanem wibracyjnym, który miał mnie doprowadzić do wyjścia poza ciało. Stało się to już zbyt niebezpieczne. Mam wrażenie, że gdzieś głęboko w sercu postanowiłem sobie, że w ogóle przestanę zajmować się takimi sprawami, a po kilku miesiącach w ogóle interesować wywoływaniem stanu wibracyjnego, który opisywał Monroe. Stopniowo traciłem nabyte już umiejętności; życie pchnęło mnie ku innym, ważniejszym sprawom i im się oddałem. Lecz nigdy nie zapomniałem tych doświadczeń i zawsze pamiętam o ich istocie, poszukując odpowiedzi na moje Trzy Wielkie Pytania.

Uświadamiająca wizja Dysku

Pewnego dnia w marcu 1975 roku mój przyjaciel Ron zadzwonił do mnie i zapytał, czy nie pomógłbym mu odzyskać trochę stali z miejsca, gdzie kiedyś zdarzył się wypadek. Ron zlokalizował trzy stare, wypalone karoserie samochodowe, a właściciel tego miejsca pozwolił mu je zabrać, chcąc się po prostu ich pozbyć. Kiedy spotkałem się z Ronem, był słoneczny wiosenny poranek, rzadkość w Minnesocie. To, co się wydarzyło tego dnia, jest kolejnym kamieniem milowym w mojej podróży życia.

Z kawałków drewna Ron zbudował tobogan. Załadowaliśmy na niego jego palnik, pojemniki z tlenem i acetylenem i pociągnęliśmy to wszystko przez zmarznięty lód, jakieś czterdzieści metrów od drogi, tam, gdzie znajdowały się stare karoserie. Kiedy rozładowaliśmy tobogan, Ron zapalił zapalnik i zaczął ciąć pierwszą karoserię na mniejsze kawałki, którymi łatwiej było operować. Potem załadowaliśmy nimi tobogan i pociągnąłem go do półciężarówki zaparkowanej na poboczu

drogi. Była to ciężka fizyczna praca, ale byłem w stanie dostać się do samochodu, rozładować tobogan i wrócić, zanim Ron pociął dość stali na kolejny ładunek.

Po mniej więcej trzech takich wycieczkach postanowiłem położyć się na chwilę i odpocząć. Miałem na sobie ciepłą zimową kurtkę i czapkę, nie było mi więc na śniegu zimno, przygrzewało w dodatku ciepłe wiosenne słońce. Zamknąłem oczy i poddałem się promieniom słońca ogrzewającym moją twarz.

Po niedługim czasie, wciąż mając zamknięte oczy, zobaczyłem nagle żywą, kolorową, trójwymiarową scenę, która jakby przewijała się przed moimi oczami. Była tak rzeczywista, jak świadomy sen, a jednak słyszałem jednocześnie dźwięk palnika Rona, przecinający stal dziesięć metrów dalej. Zacząłem przyglądać się scenie uważniej, a dźwięk palnika przycichł. A potem byłem sam, cicho i ciekawie patrząc na to, co rozgrywało się przed moimi oczami.

Nie sądzę, abym dokonywał wtedy jakichkolwiek analiz, po prostu obserwowałem i odczuwałem. Byłem tak zdumiony tym, co ujrzałem, że później opisałem to wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Lecz znaczenie sceny nie stało się przez to jaśniejsze, póki nie nadszedł wrzesień 1991 roku. Poniższy opis został zaczerpnięty z dziennika, który wtedy prowadziłem. Jeśli zaczniesz się, czytelniku, zastanawiać, co to wszystko znaczy, to będziesz wiedział, co odczuwałem na myśl o tym przez następnych siedemnaście lat.

Oto co ujrzałem:

Patrzę na postać, humanoidalną postać, stojącą w powietrzu jakiejś trzy metry ode mnie. Z początku wygląda jak mężczyzna, lecz kiedy przyjrzeć się jej bliżej, okazuje się, że jest raczej aseksualna. Postać widziana tylko z profilu, ubrana jest w coś w rodzaju ściśle przylegającego do ciała, jednokolorowego kombinezonu. Może to być beż, lecz w tym świetle

trudno jest to stwierdzić na pewno. Ów kombinezon przydaje całemu ciału postaci gładkości i kryje wszystkie cechy, dzięki którym można by określić jej płeć.

Postać ta stoi między mną a bardzo jasnym, białozółtym światłem, na tle najgłębszego, najżywszego błękitu nieba, jaki tylko można sobie wyobrazić. Postać otoczona jest jakby mgiełką, która dodaje jej jasności. Wygląda to tak, jak wtedy, gdy w gorący, parny letni dzień osłaniamy ręką oczy, aby uchronić je przed palącymi promieniami słońca, po czym na tę rękę spoglądamy.

Jestem coraz ciekawszy twarzy postaci i nagle uświadamiam sobie, że podchodzę, bliżej i zaglądam w tę twarz. Jej wyraz jest ciekawy, jest to trochę jakby obawa i zupełne zdumienie na widok wszystkiego, co dostrzega w otaczającym ją świecie. Podobny wyraz twarzy ma niemowlę; w tych oczach również widać zafascynowanie i obawę.

Odsuwam się trochę i zauważam, że za postacią znajduje się jeszcze coś. Wiem, że nie jest ona świadoma tego, czemu się przypatruję. Może tak jest zajęta widokiem rozpościerającym się przed nią, że nie patrzy za siebie. Wygląda to jak kryształowa, przejrzysta, szklana pałeczka, mająca jakieś dwa centymetry średnicy. Zdaje się, jakby świeciła sama z siebie zielonkawozółtym światłem. Zbliżyłem się trochę, aby przyjrzeć się jej lepiej. Jest bezpośrednio złączona z humanoidalną postacią, jakby wyrastała spomiędzy jej łopatek, lecz jest raczej giętka niż sztywna. Znajduję się bardzo blisko niej. Patrzę w prawo, aby przekonać się, jaka jest długa. Ciągnie się daleko, dalek, niż sięga mój wzrok. Dla lepszego widoku odsunąłem się od dziwnie oświetlonej pałeczki i znów spróbowałem dojrzeć, jak daleko sięga, i znów nie mogę dojrzeć jej końca, więc idę wzdłuż niej, nie odrywając od niej oczu.

Wciąż idę wzdłuż niej, kiedy w pewnej chwili zauważam, że barwa nieba zmienia się. Głęboki, żywy błękit łagodnieje i przechodzi powoli w bledszy, pastelowy odcień. Wygląda to tak, jakbym patrzył na zmierzchające niebo, pozbawione jednakże zwykłych sobie róży i żółci nadchodzącego mroku. Kiedy przekroczyłem granicę pomiędzy dniem a nocą, delikatny, pastelowy błękit zaczął przechodzić w czerń. Pałeczka również się zmienia. Jej średnica jest taka sama, lecz teraz jest ona

wykonana z trzech mniejszych pałeczek ściśle do siebie przylegających. W miarę jak ciemnieje niebo, pałeczka dzieli się raz, a potem drugi. Jej średnica wciąż się nie zmienia, lecz po kilku podziałach widzę już jakieś dwadzieścia lub nawet trzydzieści cieńszych drucików, przejrzystych niby kryształ, przypominających nieco wewnątrz kabla. Zmierzch przeszedł w noc. Z początku gwiazdy jedynie delikatnie pobłyskiwały na ciemnym niebie, teraz jednak jaśnieją pełnym blaskiem na głębokiej czerni nocnego nieba.

Wydaje się, jakby humanoidalna postać, którą opuściłem zaledwie kilka chwil temu, znajdowała się w odległości całych lat świetlnych ode mnie, a ja wciąż idę ku jakiemuś odległemu nocnemu niebu, podążając za czymś, co jeszcze niedawno było pojedynczym prętem. Obecnie podzielił się on na mniejsze pręciki, a jest ich tyle, że wyglądają jak pęk delikatnych włókien, zbyt licznych, żeby pokusić się o ich policzenie. Coś się zmienia. Włókna rozdzielają się. Zatrzymuję się, aby przyjrzeć się lepiej temu, co widzę. Włókna falują wdzięcznymi, parabolicznymi ruchami ku miejscu, w którym dostrzegam zarysy dysku w kształcie elipsy. W zasadzie nie widzę samego dysku, ale wiem, że tam jest, gdyż taki właśnie kształt przesłania ten kawałek nieba, na którym nie widać świecących gwiazd. Wiem, że jest okrągły; wygląda jedynie na elipsę, gdyż patrzę na niego pod pewnym kątem. Falujące włókna tworzą gładkie, symetryczne wzory skupiające się w punktach, w których łączą się z dyskiem.

Znów zaczynam powoli iść. Podchodzę najpierw do włókien, chwytam jedno w rękę i podążam za jego biegiem. Prowadzi mnie ku punktowi, w którym łączy się z dyskiem. Zbliżywszy się do dysku, dostrzegam punkty, w których łączą się z nim włókna. Znajdują się one w pobliżu małych, okrągłych, żółtych dysków. Na ścianie dużego dysku, w punktach złączenia, dyski tworzą pierścienie koncentrycznych kręgów. Jest ich tam pewnie tysiące, jeden na każde włókno. Wciąż podążam za tym, które chwyciłem wcześniej. Jestem coraz bliżej i widzę, że na każdym mniejszym, żółtym dysku widnieje jakiś wizerunek. Są to rysunki twarzy. Każda twarz przedstawia ludzkie uczucia i emocje. Przyglądam się im z pewnej odległości i nagle ogarnia mnie uczucie, że każda z nich przedstawia oddzielną, różną od innych osobowość. Znów skupiam się na włóknie, za którym podążam od jakiegoś czasu, i zauważam, że zbliżam się do

punktu, w którym jest ono połączone z dyskiem. Twarz na jego żółtym dysku przypomina mi wąsatego zbira o nazwisku Snidely Whiplash, postać z serii kreskówek dla dzieci, pod tytułem *Rocky i jego przyjaciele*, nadawanych w sobotnie poranki. Jestem jeszcze bliżej i widzę teraz, że twarz Snidely'ego porusza się, jego wąsy przesuwały się w prawo i lewo, a brwi unoszą się i opadają. Z dysku trochę wystaje niewielki, czerwony przycisk, i wiem, że Snidely chce, żebym go nacisnął. To stąd grymasy na jego twarzy. Próbuje skłonić mnie do naciśnięcia tego małego, czerwonego guzika. Wyciągam rękę. Moją rękę?

Wtedy, po raz pierwszy dociera do mnie świadomość posiadania ciała. Aż do tej chwili po prostu obserwowałem wszystko, nie mając nawet świadomości tego, że posiadam oczy. Wyciągam rękę i naciskam mały, czerwony guzik obok twarzy Snidely'ego. I nie puszczam go. Patrzę, jak z dysku wydobywa się zielonkawożółte światło i napełnia do tej pory puste włókno. Kilka chwil później zabieram palec z guzika, a zielonkawożółte światło zatrzymuje się. Zdażyło już uformować pulsujące światełko o długości jakichś dziesięciu centymetrów, które przesuwa się wzdłuż włókna z tą samą szybkością, z jaką wydobywało się z dysku.

Pulsujące światełko oddala się z mojej lewej strony, w kierunku humanoidalnej postaci, teraz oddalonej ode mnie o całe lata świetlne. Idę za nim. Po drodze widzę inne włókna. Niektóre mają w sobie pulsujące światełka, poruszające się tak jak to moje, inne nie. Inne pulsujące światełka pobłyskują nieregularnie. Najwyraźniej wyłoniły się z dysków niejednocześnie. Kiedy tak idę za moim światełkiem, z powrotem ku humanoidalnej postaci, włókna zaczynają na powrót zbierać się i kształtować sznur. Zbiegają się ku sobie; są ich setki. Co najmniej połowa z nich ma w sobie pulsujące światełka. Sznur znów się tworzy, ma tę samą co wcześniej średnicę, a ja wciąż idę za światełkiem powstałym w chwili, gdy nacisnąłem mały, czerwony guzik przy wizerunku Snidely'ego Whiplasha. Jeszcze przez chwilę jestem w stanie odróżnić moje światełko wśród wielu innych. Potem tracę je z oczu. Jest ich za wiele. Włókna znów łączą się ze sobą, są coraz większe i jest ich coraz mniej. Moje światełko złączyło się już z tak wieloma innymi, że wszystkie razem tworzą mocny, zielonkawożółty poblask. Choć straciłem je z oczu, wciąż

posuwam się wzdłuż sznura, w tym samym co przedtem tempie, wiedząc, że światelko Snidely'ego towarzyszy mi cały czas.

Rozgwieżdżone, nocne niebo rozjaśniło się trochę. Ledwie mogę dojrzeć blednące gwiazdy. Idę ku blademu błękitowi wschodu słońca, a sznur znów stał się trzema sznurami, jak przedtem. Wciąż idę w tym samym tempie, co światelko Snidely'ego, które teraz jest pojedynczym sznurem, jasno widocznym na tle coraz żywszego błękitu nieba. Po mojej lewej stronie dostrzegam zarysy humanoidalnej postaci. Chcę widzieć jak światelko Snidely'ego płynące sznurem, wnuknie w postać. Jednak aż cofam się trochę na ten widok. Z wyrazu jej twarzy widzę, że na cokolwiek patrzyła na tym świecie, postrzegała to z punktu widzenia Snidely'ego Whiplasha. Nawet nie chodzi o to, że ten humanoid postrzegał to przez jego osobowość, ale raczej o to, że sam Snidely Whiplash był w nim i sam tego doświadczał. W jakimś sensie Snidely, wciąż przebywający w dysku, pojawił się na krótką chwilę w tym świecie, nie tylko po to, żeby zobaczyć, jak odbiera go ów humanoid, ale również po to, aby w nim zaistnieć.

Obraz, który obserwowałem, zniknął, a ja stwierdziłem, że leżę na toboganie na pokrytym śniegiem wzgórku i jest mi przyjemnie i ciepło w wiosennym słońcu Minnesoty.

Otworzyłem oczy i usiadłem prosto. Potem wstałem i przeciągnąłem się jak wielki kot. Spojrzałem tam, gdzie pracował Ron i ujrzałem, że pociąg na tyle dużo stali ze starych samochodów, że akurat mogłem znów zacząć ładować tobogan. Podeszedłem więc do niego, załadowałem blachę i pociągnąłem kolejny ciężar ku samochodowi stojącemu na poboczu. Jednocześnie przez cały czas rozpieła mnie ciekawość i zastanawiałem się, co właściwie widziałem. Kiedy opowiedziałem o tym Ronowi, ten stwierdził, że najpewniej była to jakaś wizja. Zaskoczyło mnie to, gdyż nigdy przedtem nie miałem żadnych wizji. Tego dnia, przez cały czas widziałem jasno i wyraźnie wszystkie szczegóły mojej wizji. Głowę miałem pełną pytań: Dlaczego to wszystko widziałem?

Czym były te wszystkie rzeczy, które widziałem – ta postać, światło, sznur, dysk, pulsujące światełka i wszystkie te twarze? A przede wszystkim zastanawiałem się, co to właściwie miało znaczyć. Wizja pozostała dla mnie zagadką przez następnych siedemnaście lat.

Po tym dniu i tej wizji, życie toczyło się jak zwykle. Skończyłem budowę domu nad jeziorem, rozwiodłem się i przeprowadziłem do Kolorado. Minęło wiele lat. Ożeniłem się ponownie, założyłem rodzinę i przez cały czas byłem dość zajęty. Od czasu do czasu odwiedzałem pewien sklep metafizyczny, odbyłem kilka kursów, takich jak astrologia i rozwój psychiczny, i wciąż poszukiwałem odpowiedzi na moje Trzy Wielkie Pytania, choć moje wysiłki zostały ograniczone przez codzienne obowiązki i wybory, jakich dokonałem w życiu. Kiedy od czasu do czasu przypominałem sobie wizję z dyskiem, nieodmiennie budziła się we mnie ciekawość. Lecz stopniowo pytanie o znaczenie owej wizji bladło pośród wielu innych wspomnień.

Bruce'a Moena od zawsze nurtowały Trzy Wielkie Pytania: „Gdzie byłem, zanim się urodziłem?”, „Co mam robić, żyjąc tutaj?”, „Dokąd pójdę, kiedy umrę?”. Aby sobie na nie odpowiedzieć, trzeba udać się w podróż. Podróż w nieznaną sferę niefizyczny, którego realność jest zaskakująca i daje tak ważne poczucie pewności, że życie nigdy się nie kończy. Każda podróż *Tam* umożliwia poznanie kolejnej kropli prawdy z całego oceanu Wiedzy. Zdobywanie doświadczeń w obszarach niefizycznych całkowicie rozwiewa wątpliwości nie tylko co do ich istnienia, ale też pokazuje cały wachlarz możliwości ziemskiego życia. Podróżując z Moenem po nieznanym, odkrywamy, że każdy może eksplorować rzeczywistość wielowymiarową bez konieczności posiadania szczególnych uzdolnień. Wyposażeni w jego wskazówki, możemy rozpocząć własne poszukiwania, a dzięki zdobywaniu jedynych w swoim rodzaju wiedzy i doświadczenia – stać się wielkimi odkrywcami.

Grażyna Byczukowa, Paweł Byczuk

trenerzy Podróży Niefizycznych wg metody Bruce'a Moena
afterlife.hemi-sync.com.pl

ISBN: 978-83-7579-724-4



9 788375 797244

WWW.GALAKTYKA.COM.PL

CENA: 39,90 ZŁ (w tym 6% VAT)